

O wieloletowości polemicznie

Z uwagi na to, że dyskusja nad dodatkowym zatrudnieniem nauczycieli akademickich przypomina grę do jednej bramki, której nikt nie broni, pozwolę sobie przedstawić własne zdanie na ten temat. Zanim jednak przejdę do istoty problemu, czuję się w obowiązku wyrazić pełną dezaprobatę dla poczynań Krajowej Sekcji Nauki NSZZ „Solidarność”, która uważała za rzecz celową, a nawet, jak można wnosić z pisma jej przewodniczącego, wręcz chwalebne podjęcie interwencji w Ministerstwie w sprawie „patologicznej wieloletowości”. Wprawdzie, jako przewodniczący koła „Solidarność” w Instytucie Historyczno-Prawnym UJ w roku 1980/1981, z ogromnym zażenowaniem obserwuję aktualną egoistyczno-roszczeniową postawę związków zawodowych, ale do tej pory nie zdarzyło mi się widzieć równie szkodliwego dla pracowników działania, jak właśnie wystąpienie wspomnianej sekcji.

W związku z tym dwa pytania:

Pierwsze: W czym interesie Panowie działacie, bo na pewno nie owych 66% nauczycieli akademickich, którym państwo nie jest w stanie zapewnić godziwego wynagrodzenia i którzy nie z przymusu, lecz z własnej woli, a niekiedy nawet z dużym wysiłkiem, zabiegają o to, aby takie dodatkowe zajęcia uzyskać. Nie działacie również w interesie kształcącej się w szkołach niepublicznych młodzieży, którą zakaz dodatkowej pracy jej profesorów może pozbawić możliwości studiowania, a także nie w interesie owych małych społeczności, które dzięki istnieniu takich szkół mają zapewnioną możliwość egzystencji.

Wasze poczynania nie leżą również w interesie skarbu państwa, albowiem on dzięki wieloletowcom ma możliwość ściągnięcia od jednej osoby podwójnej czy potrójnej składki rentowo-emerytalnej, co w aktualnym stanie rzeczy, gdy tylko połowa populacji płaci na ZUS, jest rzeczą bardzo istotną.

Pytanie drugie: Na czym niby polega „patologia wieloletowości”? Zapewne tym wszystkim, którzy tak chętnie szafują owym zwrotem nie przychodzi do głowy, że są i tacy profesorowie, którzy mają świadomość, że ich moralnym obowiązkiem jest dzielenie się posiadaną wiedzą z jak najszerszym kręgiem odbiorców i którym sprawia szczególną satysfakcję fakt, że młodzież z ich prowincjonalnej uczelni, wcześniej znająca co najwyżej miasto wojewódzkie, zdobywa wiedzę na odpowiednim poziomie i dzięki zagranicznym praktykom zwiedza niemal całą Europę.

I wreszcie *pro domo mea!* Przez 51 lat pracowałem na Uniwersytecie Jagiellońskim, od 35 jednocześnie w Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie oraz od 10 jako rektor Wyższej Szkoły Turystyki i Ekologii w Suchej Beskidzkiej. Obecnie pracuję na dwóch ostatnich z wymienionych etatów i nie potrzebując żadnego zezwolenia. Niemniej jednak, według stosowanych przez Was kryteriów stanowią klasyczny przykład „patologicznego wieloletowca”. Proszę mi zatem wyjaśnić, na czym ta moja zbrodnia polega, skoro:

1) moje pensum na UJ przez szereg lat wynosiło 120 godzin rocznie, podczas gdy wykonywałem ich 240, a zatem dokładnie dwa razy więcej. Oprócz tego, od szeregu lat prowadziłem całkowicie społecznie dwa cieszące się dużym powodzeniem konwersatoria dla I roku. Do tego należy jeszcze dodać seminarium dla doktorantów (poza indywidualną opieką nad uczestnikami studiów doktoranckich) w ilości co najmniej 40 godzin rocznie. W sumie ilość wykonywanych przeze mnie zajęć na Uniwersytecie Jagiellońskim jako miejscu mojego podstawowego zatrudnienia przekraczała 300 godzin (!). Wypełniałem i wypełniam rów-

nież pensum dydaktyczne na AWF, gdzie pracuję nadal jako kierownik Katedry Polityki Turystycznej. Nikt też mi nie zarzucał, że niewłaściwie wypełniam funkcję rektora WSTIE,

2) nie sądzę też, aby budziła zastrzeżenia moja działalność naukowa. Jestem laureatem Nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej (tzw. polskiego Nobla), Lauru Jagiellońskiego, kilkakrotnych nagród Ministra Szkolnictwa Wyższego, Ministra Edukacji Narodowej, nagrody Miasta Krakowa w dziedzinie nauki i techniki, nagrody Peregryna z Opola i innych. Opublikowałem – oprócz 100 artykułów i monografii naukowych – również opracowany samodzielnie przeze mnie, a liczący 100 000 haseł *Słownik łacińsko-polski dla prawników i historyków*, monografię *Zawsze wierny. Kościół rzymskokatolicki a Uniwersytet Jagielloński*, a obecnie złożyłem do druku *Słownik historii i tradycji Uniwersytetu Jagiellońskiego* o objętości 142 (!) arkuszy,

3) wychowałem 11 doktorów, co w dziedzinie tak trudnej, jak prawo rzymskie, uważam za sukces,

4) nigdy nie uchylałem się od obowiązków organizacyjnych na UJ, czego dowodem jest moja 6-letnia funkcja prodziekana Wydziału Prawa i Administracji UJ, 3-letnia kadencja prorektora do spraw ogólnych UJ i wieloletnie kierownictwo Katedry, nie licząc udziału w różnego rodzaju komisjach itd.

W sumie, mogę z podniesionym czołem stwierdzić, że dla mojej macierzystej uczelni, pomimo zajęć gdzie indziej, robiłem więcej niż wielu „niepatologicznych” jednoetatowców. Wiem również, że mój przypadek bynajmniej nie jest odosobniony. Jednocześnie mam pełną świadomość, że moja dodatkowa praca to nie ordynarna chałtura, jak to usiłuje się nieraz przedstawić.

To, że po raz pierwszy od kilkadziesiątu lat, kiedy profesor był wynagradzany dużo gorzej od milicjanta czy murarza, kwalifikacje naukowe zyskały swoją wartość, chociaż za cenę dodatkowych obciążeń, jest chyba oznaką normalności, czego tylko ludzie wyjątkowo złej woli nie potrafią dostrzec. Ale i to nie jest tu najważniejsze. O wiele bardziej bowiem istotny jest fakt, że ta dodatkowa praca w wielu przypadkach jest wręcz nieodzowna, zwłaszcza w małych ośrodkach, jak np. Sucha Beskidzka, gdzie kierowaną przeze mnie szkołę ukończyło blisko 2000 osób i żadna nie zarejestrowała się jako bezrobotna. Uczelnia ta liczy w tej chwili ok. 1000 studentów na studiach stacjonarnych i zaocznych. Warto się zastanowić, ilu z nich byłoby w stanie ponieść koszty nauki i mieszkania w Krakowie czy jakimś innym dużym ośrodku akademickim. Prawdopodobnie bardzo niewielu, gdyż w przeciwnym razie niewątpliwie już by to uczynili. Dobrze by zatem było, aby o tej młodzieży pamiętali ci, którzy będą decydować o losie wielu podobnych szkół, zmuszonych w aktualnym stanie rzeczy do korzystania z kwalifikowanej kadry zatrudnionej na innych uczelniach.

Przywrócić stosowany za czasów komunistycznych przepis o dodatkowym zatrudnieniu wyłącznie za zgodą rektora jest łatwo, tylko trzeba sobie uświadomić, jakie koszty społeczne to za sobą pociągnie.

A Wy, Panowie z Sekcji Nauki NSZZ „Solidarność”, jeżeli chcecie koniecznie zaistnieć, to zajmijcie się dużo ważniejszym problemem stałego obniżania wymagań na poszczególnych etapach awansu naukowego, bo to, do czego zmierza aktualna polityka w tym zakresie, niczego dobrego nauce polskiej na przyszłość nie wróży.

Prof. zw. dr hab. Janusz Sondel
Kraków, w lutym 2011 r.